

S

Premiery pomorskie

Nocna ławeczka

„ANTYGONA w Nowym Jorku” to tzw. samograj. Ton komedii, wymiar tragedii. Współczesny, a zarazem uniwersalny obrazek rzeczywistości. Nie bez powodu od prapremiery w Waszyngtonie (1993) cieszy się nieustannym powodzeniem na świecie. A i w Polsce, gdzie bezdomność, przez lata traktowana jak specyfika i produkt uboczny „zachodniego kapitalizmu”, stała się tak szybko i boleśnie naszym własnym, trudnym doświadczeniem.

NIE tylko ta dosłowna, nachalnie dziś widoczna w polskich miastach, ale i ta rozumiana jako wykorzenienie, wygnanie ze świata wartości. Jeśli czytać „Antygone...” z tej perspektywy, to staje się niezwykle aktualna właśnie dziś, w Polsce. Mimo swych wad, na które też zwracano uwagę (a pisano np. o szeszczących papierem rolach, zbyt łatwo płynącym dialogu), stanowi więc na pewno atrakcyjny materiał teatralny.

No to jak takiego samograja (niedrogięgo, bo mała obsada) nie włączyć do repertuaru? Zwłaszcza w sytuacji, w jakiej znalazł się teatr w Koszalinie, w którym – po gwałtownej zmianie warty u końca minionego sezonu – przyszło budować repertuar z dnia na dzień... Edward Żentara, nowy szef artystyczny BTd, związany był niedawno z krakowskim Stowarzyszeniem Dialog, w którym jako reżyser i aktor działał Tomasz Piasecki. I tam powstała (2002 r.) pierwsza wersja „Antygony...” w jego reżyserii i z jego udziałem – potem grana na innych scenach, zaś teraz przeniesiona na deski koszalińskiego teatru. W swego rodzaju „pakiecie” – bo właśnie z Piaseckim w roli Saszy i z Marianem Jaskulskim jako Pchełką.

„Antygona w Nowym Jorku” pojawiła się więc w BTd jako coś w rodzaju „gotowca” przykrojonego na nową potrzebę.

Z samograjami w teatrze jest wszakże tak, że wymagają – jakby na przekór swoim zaletom – szczególnej staranności, czy może raczej inwencji w realizacji. Bo inaczej wydobywają się z nich – mówiąc językiem handlu – wady ukryte (tu: patrz wyżej). A przedstawienie Piaseckiego nosi w sobie, niestety, sporo śladów wielokrotnego wcześniejszego użytku. Jest monotonne; toczy się szybko, ale nie zmienia rytmu, który dramatycznej, lecz i niezbyt dynamicznej opowieści dodawać powinien emocji, ekspresji.

Scena, na której jedynymi elementami scenografii są ławka i stojący przy niej kosz na śmieci, pulsujący żarzącym się w nim ogniem, jest pusta. Można na niej grać dramat uniwersalny – tak jak owa mroczna (akcja toczy się nocą) zimna przestrzeń. Rzecz w tym, że chłód przenika cały spektakl. Jego postaci są wyzbyte życia (i nie dotyczy to wcale niemej roli Johna – gra go Wojciech Broda-Zurawski – będącego w istocie... trupem), brak im ciepła, które pozwoliłoby widzom przejść się ich losem i wyborami.

Najciekawiej wypada tu Sasza – rosyjski malarz, nowojorski nikt, usiłujący w nowym świecie zachować choć trochę godności – Piasecki gra go oszczędnie, z nienachalną goryczą. Co w kilku scenach daje spektaklowi ów

niepokój, który mógłby – gdyby był trwalszy, głębszy – stać się jego wartością, lecz w innych staje się ledwie suchym rezonerstwem. W rolę Policjanta – będącego narratorem opowieści czy swego rodzaju... chórem greckim – trafia Edward Żentara. Jego bohater jest cyniczny, za gładkością wymowy kryje okrucieństwo – nie tyle swoje, ile naszego świata. Ale to rola niejako dodana do głównego wątku.

A pozostałe ważne role wypadają słabo. Pchełka grany jest przez Jaskulskiego „po wierzchu”, na greps, grymas, na mocne i zabawne podobieństwo do lumpa. To jednak, co podoba się niektórym, jako efektowna gierka, zacierza wpisany w rolę portret psychologiczny. Brzydki, ale bogaty. Bo Pchełka, ten nasz Polak cwaniaczek, to nie tylko pijak, blagier i śmieć. To jeden z nas. Zakłamanych, wierzących w swą wyższość nad „resztą świata”, a tak pełnych kompleksów, iż rodzi się z nich nienawiść. Szkoda, że Jaskulski skupił się na rodzajowej obserwacji, a nie sięgnął tam, gdzie naprawdę boli. Pozbawiona wyrazu, chwilami sympatyczna, choć głównie nijaka jest z kolei Anita Katarzyny Ulickiej-Pydy. A to przecież jej determinacja i ofiara czynić mają ze zdarzeń w Tompkins Square Park scenę dla powtórki z Sofoklesa. Nie czynią.

Spektakl ogląda się więc na ogół gładko – bo zrealizowano go poprawnie – ale dość obojętnie. Palec Policjanta wycelowany w stronę widowni („dziś w teatrze jest przynajmniej jedna osoba, która niedługo znajdzie się na ulicy. I ta osoba wie, o kim mówię”) nie trafia w serce, lecz – kto wie? – może dotknąć, choć trochę, samego problemu?

Artur D. LISKOWACKI